

DAWID SZKOŁA
Uniwersytet Wrocławski

Opowieści o stracie, które nie zmieniły świata

Wiem doskonale, na jaki rodzaj krytyki narażam się próbując opisać żywot świętego Józefa z Copertino, ja niewierzący, ja ignorant.

B. Cendrars, *Nowy patron lotnictwa*, przeł. J. Rogoziński

Ponad jakimi obszarami czasu biegną linie
powinowactw z wyboru i korespondencji?

W.G. Sebald, *Pierścienie Saturna*, przeł. M. Łukasiewicz

Łączymy ze sobą dwie opowieści, na pierwszy rzut oka odległe i niemające wiele wspólnego. Stworzone zostały w różnych kontekstach, przez obce sobie charaktery i w innej temperaturze uczuciowo-intelektualnej. Czasem się to sprawdza, a czasem nie. Świat przez to nie ulega zmianie, ale jednak pewien jego obszar rozjaśnia się. Dla jednych nie znaczy to nic, dla innych z kolei stanowi rozrywkę, a pozostałej garstce daje to pewną świadomość pełni lub pustki. Powstaje wtedy coś nowego, dwie opowieści zaczynają się ze sobą krzyżować. Razem tłumaczą więcej niż jedna; czytelnikowi pozwalają widzieć wyraźniej i dalej sięgać wzrokiem. To już dużo.

Omawiane tutaj historie dzieli niemal wszystko, łączy zaś poczucie straty i aeronautyka. Wspólnota taka wydaje się dziwna, ale tylko przy pierwszym poznaniu. W dziejach świata ludzie próbowali już ze sobą scalać i integrować przeróżne rzeczy, formy i opowieści; przynosiło to zyski lub straty, zmieniało rzeczywistość bądź pozostawiało ją taką samą, dawało poczucie sensu albo bezsensu. Nieuchwytnie i często różne od siebie elementy czy ludzkie charaktery, w pojedynkę niepełne i istniejące bez powodu, gdy zostały połączone, nabierały nowych, lepszych albo gorszych cech. Mowa łączona z symbolami dała nam pismo, zaś alchemicy taoistyczni, szukając eliksiru wieczności, wynaleźli proch strzelniczy, mieszając z sobą saletrę, siarkę i węgiel drzewny. Raz tak, raz inaczej, straty bądź zyski — różne są konsekwencje podejmowanych działań. Jeśli łączymy z sobą dwójkę ludzi, musimy być świadomi, że jedno zostanie drugiemu

odjęte. Związek chemiczny utraci swoje właściwości, kiedy wejdzie w reakcję z innym. Przedmioty też nie na zawsze pozostają trwałe. Nawet *Nic* łączy się z *Czymś* — zaświadcza o tym historia wszechświata, tworząc niezrozumiały alians pustki i ciał niebieskich. W końcu, z teologicznego punktu widzenia, Bóg stworzył coś z niczego, a ciemność się rozjaśniła. Zatem połączenie straty i aeronautyki nie wydaje się do końca chybione. Cóż bowiem pozostaje tym, którym odebrano wiele, jeśli nie patrzeć w niebo? Skarga i lament chwilowo uśmierza ból, ale nie tłumaczą niczego i nie dają poczucia żadnego sensu. Pozostaje chęć wzniesienia się ponad hałaśliwość bytu i wypełnienia pustki noszonej w sobie. Szukanie odpowiedzi gdzieś indziej, gdzieś wyżej, tam, gdzie bardziej jest *Nic* niż *Coś*, staje się naturalnym zachowaniem każdego z nas, żyjącego pośród innych ludzi, przedmiotów i obcego świata. Z wysokości lepiej też można ujrzeć stratę, którą się poniosło. Nie chodzi bowiem o to, aby o niej zapomnieć, przeanalizować ją czy „przetrawić”, lecz by żyć z nią, jako częścią siebie.

Czasem takie porównania i próby łączenia wymykają się zdrowemu rozsądkowi. Wydają się niepotrzebne, nie przynoszą nam bowiem nic poza hermeneutyczną rozrywką. Podobnie jest dziś z innymi przejawami abstrakcyjnego myślenia, które nie przekładają się na szybki dochód i efekt. Namysł nad sensem literatury, pewnych opowieści, jak również sposoby zrozumienia rzeczywistości za ich pomocą, nie tylko dawno temu wyszedł z mody, ale przestał też być w ogóle tolerowany. Mówiąc wprost: stał się przejawem dziwactwa, albo, inaczej: akademickiego zwyrodnienia niedopasowanego do XXI wieku. Nie jest to żadna walka z wiatrakami, lecz niepewnymi i niejasnym aspektami ludzkiej egzystencji, których umysł nie może do końca pojąć, ani ich przyswoić. Interpretowanie niektórych tekstów w sposób subiektywny przypomina bowiem pewną formę niszczenia utartych schematów i systemów myślenia, bez których współczesność nie może się obyć.

Kto więc — pisze Dariusz Czaja — boi się interpretacyjnej subiektywności, lęka się istocie tego niebezpieczeństwa i tej niepewności, naukę traktując jako doraźny zakład ubezpieczeń naszego biednego *ratio*. Tymczasem minimalny wysiłek umysłowy, sprzymierzony z elementarną uczciwością wobec siebie, wskazuje niezbicie, że w istocie codziennie chodzimy nad przepaścią. Ta figura wskazuje na niedającą się usunąć, wysoce kłopotliwą okoliczność: że mianowicie to kruche naczynie, jakim jest sens rzeczywistości, wciąż wymyka nam się z rąk, a fakt, że z reguły o tym nie wiemy, a jak już wiemy, to nie chcemy o tym pamiętać, nie oznacza, że w istocie tak nie jest. Rozum robi wiele, by ten fakt zamazać. Właśnie przeciwko tego rodzaju racjonalistycznym przerosom w rozumieniu wiedzy, prowadzącym w konsekwencji do ucieczki od spotkania z tym, co poza dekrety rozumu wypada, protestował Nietzsche, kiedy pisał w *Woli mocy*: „nie próbujcie odmówić światu jego niepokojącego i enigmatycznego charakteru”¹.

¹ D. Czaja, *Znaki szczególne. Antropologia jako ćwiczenie duchowe*, Kraków 2013, s. 25–26. Warto też zwrócić uwagę na pojęcie interpretacji egzystencjalistycznej, opisanej przez Michała Januskiewicza: „Interpretacja egzystencjalna ujmuje czytanie jako jeden ze sposobów bycia-w-świecie. W takim rozumieniu interpretacja nie sprowadza się li tylko do czynności refleksyjnych, eksplikujących znaczenie tekstu jako obiektu względem interpretatora zewnętrznego, ale włącza

* * *

„Łączymy z sobą dwa elementy, które nigdy dotąd nie były połączone. I świat ulega zmianie. Ludzie mogą tego od razu nie zauważyć, ale to bez znaczenia. Tak czy owak, świat uległ zmianie”² — zdanie to otwiera przejmującą książkę Juliana Barnesa *Wymiary życia*, traktującą o początkach baloniarstwa i poczuciu straty. Jest to zbiór esejów o miłości i traceniu punktu oparcia; tym, co często niezrozumiałe, enigmatyczne właśnie i niepokojące. Angielski prozaik snuje opowieść o tym, co nieuchwytnie i wymykające się prostym regułom. Pisze on o pierwszych aeronautach, próbujących łączyć ze sobą różne elementy, aby mogli się wznieść jeszcze wyżej, dalej i pewniej — nie zdani na kaprysy pogody, ale własną wolność, więc możliwość latania, w jakim się chce kierunku. W środkowym esej skupia się na niespełnionej miłości Freda Burnaby’ego — ekscentrycznego podróżnika, żołnierza oraz baloniarza — do Sary Bernhardt, aktorki tak szczupłej, że suchą nogą przemykała między kroplami deszczu. Kończy zaś najdłuższym tekstem: o tym, jak musiał sobie poradzić ze stratą ukochanej żony.

Barnes kreśli trzy, na pierwszy rzut oka niezwiązane z sobą, eseje, które, koniec końców, łączą się w jedną całość. Można je odczytywać jako próbę poradzenia sobie z własną stratą. Można też je interpretować w prosty, lecz nie prostacki sposób, jako pewną alegorię naszego życia, które

toczy się po równi, w linii prostej, a mimo to — i dlatego — dążymy do czegoś więcej. My, małuczcy, czasem potrafimy sięgnąć tak daleko jak bogowie. Niektórzy wznoszą się poprzez sztukę, inni — religię; większość — poprzez miłość. Ale kiedy się wnosimy, możemy się też rozbić. Niewiele jest miękkich lądowań. Może się okazać, że naraz suniemy po obcej ziemi, objając się z siłą, która łamie nogi, wleczeni ku jakimś torom kolejowym. Każda opowieść o miłości to potencjalna opowieść o żalu. Jeśli nie na początku, to później. Jeśli nie dla jednej osoby, to dla drugiej. Czasem dla obu³.

Eseje te możemy odbierać alegorycznie: w dużej mierze nie mamy żadnej kontroli nad swoim życiem. Balonem również nie możemy kierować. Jest on zdany na wiatry i pogodę. Potrafimy co najwyżej obniżyć albo wznosić jego lot. Reszta nie zależy od nas. Z drugiej strony, możemy nie wsiąść w ogóle do kosza, lecz z ziemi obserwować jak latają ptaki, obłoki oraz inni ludzie. Mylne jednak wydaje się przekonanie, że stojąc na twardym gruncie, jesteśmy panami własnego losu. Jeszcze bardziej błędne będzie myślenie, że złączeni z gruntem prawem grawitacji nie odczuwamy tęsknoty czy poczucia niejasnej straty. Świat, podob-

samą egzystencję badacza, bierze pod uwagę wiele zachowań, w tym także tych, które określić moglibyśmy jako recepcyjne. To w nich bowiem tekst jest w sposób pierwotny przez czytelnika wytwarzany. Najogólniej rzecz biorąc dzieło poddane zostaje aktywności postrzeżeniowej i wyobrażeniowej czytającego, na mocy której problematyczna staje się granica między dziełem a interpretatorem”. M. Januszkiewicz, *W-koło hermeneutyki literackiej*, Warszawa 2007, s. 62.

² J. Barnes, *Wymiary życia*, przeł. D. Lewandowska, Warszawa 2015, s. 9.

³ *Ibidem*, s. 50.

nie jak nasza egzystencja, ma niepokojący i tajemniczy charakter. Nie ukryjemy tego w żaden sposób i podstawowe pytania o sens w końcu do nas dotrą. Ziemia, po której tak pewnie stąpamy, kiedyś się pod nami rozstąpi, stracimy grunt pod nogami i doświadczymy sytuacji granicznych. Te są nieodłączne w naszej egzystencji, w żaden sposób nie możemy przed nimi uciec. Poczucie dojmującej straty należy do jednej z nich, jak również momenty wyrwania się z monotonnej codzienności. Nie pozostaje nam nic więcej, jak próbować za ich pomocą zrozumieć własne istnienie i rozjaśnić ścieżki, po których kroczymy.

Barnes łączy w swoim zbiorze esejów różne opowieści, które mogą być czytane osobno, ale kiedy je połączymy, nabierają głębszego wyrazu. Stają się narracją, która nie tylko rozjaśnia pewne wydarzenia z dziejów kilku ludzi, ale również tłumaczy nam to, co w życiu właśnie niepokojące i mające enigmatyczny charakter. Wskazuje nam przy tym, że historie, nieraz jakże od siebie oddalone i niemające wspólnego mianownika, stają się bliskie sobie i właśnie w nich możemy odnaleźć wytłumaczenie dla własnych losów; że tam, gdzie najmniej byśmy się spodziewali znaleźć pocieszenie, właśnie je odnajdziemy; że „nie istnieje żdźbło trawy, które nie ma historii do opowiedzenia, serce, które nie ma swych dziejów, życie nie kryjące sekretu, kolca albo ciernia. Wszędzie smutek, nadzieja, komedia, tragedia”⁴. Zatem, nawet o tym nie wiedząc, codziennie mijamy dziesiątki wartych do wysłuchania historii, które być może łączą się w jedną całość, a nawet jeśli nie, mówią nam one, że tak naprawdę, wiedząc o świecie coraz więcej, wiemy i tak niewiele, zaś sama konsystencja naszej egzystencji przelewa się nam przez palce. Życie zatem to tylko kroczenie wśród ciemności, która w każdej chwili może nam dać o sobie znać: łącząc naszą opowieść z inną czy odbierając drugiego człowieka. Świat wtedy ulega zmianie albo nie. Podobnie rzecz ma się podczas scalania i jednoczenia pewnych elementów. Może to się na nas odbić pozytywnie bądź negatywnie, równie dobrze może nie wydarzyć się też nic. Śledząc historię aeronautyki, dokładnie widzimy tę prawidłowość. Kiedy zaś spojrzymy na własną przeszłość, ujrzymy ją tym wyraźniej.

* * *

„Na początku — pisze Barnes — latały ptaki, a ptaki stworzył Bóg. Latały anioły, a anioły stworzył Bóg. Mężczyźni i kobiety mieli długie nogi i proste plecy, a Bóg stworzył ich takimi nie bez przyczyny. Zaczynając z lataniem, zaczynało się z Bogiem. Te zmagania miały trwać bardzo długo i zrodziło się z nich wiele pouczających legend”⁵. Następnie zaś czytamy o Szymonie Magu, który chciał zaimponować cesarzowi Neronowi swoją najnowszą sztuką: lotem człowieka. Heretyk, w domyśle za pomocą demonów, wzniósł się w powietrze, ale święty

⁴ H.F. Amiel, *Dziennik intymny*, przeł. J. Guze, Warszawa 1997, s. 62.

⁵ J. Barnes, *op. cit.*, s. 19.

Piotr wymodlił u Boga, aby ten pozbawił złe duchy ich świętokradczej mocy. W konsekwencji Szymon Mag rozbił się i roztrzaskał. Chciał być równy aniołom, a być może nawet Bogu, więc stracił życie. Z pychy i by zaimponować cesarzowi, wzniósł się ponad innych ludzi, a czyn ten został ukarany. Autor *Wymiarów życia* zapomina jednak o innym aeronaucie, który w ogóle nie był próżny, nie grzeszył ciałem czy mową, a wlatywał w niebo bez opamiętania na oczach prostaczków i wielmożnych tego świata.

Józef Desa, zwany później świętym Józefem z Copertino, urodził się w 1603 roku w ubogiej rodzinie. Historię jego spisał Blaise Cendrars, łącząc ją z opowieścią o swoim synu, który został zestrzelonym, gdy latał za liniami wroga, podczas drugiej wojny światowej. Znowu mamy więc do czynienia z opisem straty i aeronautyki, straty najbliższej osoby oraz kreśleniem historii o ludziach, którzy odłączyli się od ziemi, aby wznieść się ponad własne słabości i problemy, żeby spojrzeć na świat z odpowiedniej odległości i perspektywy. Być może najlepszym tego przykładem będą słowa fizyka J.A.C. Charlesa, który wzleciał balonem 1 grudnia 1783 roku: „Kiedy poczułem, że opuszczam ziemię”, orzekł, „doznałem nie tyle przyjemności co *szczęścia*”. Było to „uczucie moralne”, dodał. „*Słyszałem, że żyję* — jeśli można się tak wyrazić”⁶. Uniesienie się ponad ziemię ma zatem coś wspólnego z nowym oglądem rzeczywistości. Czy jednak pisanie o tym zagadnieniu pomaga poradzić sobie ze stratą? Nie śmiem tutaj stawiać tak odważnych hipotez, choć coś jest na rzeczy, ale warto zadać sobie pytanie, czy przypadkiem aeronautyka nie łączy się w jakiś przedziwny i niezrozumiały sposób z poczuciem straty?

Oto wznosząc się, odrywamy się od czegoś, zmierzamy gdzieś indziej, tam, gdzie poniosą nas wiatry czy inne siły, na które niekoniecznie mamy wpływ. Zaczynamy żyć w innej przestrzeni, bo też inaczej widzimy świat, od którego się oderwaliśmy. Staje się on dla nas mniejszy, może nie bardziej zrozumiały, ale łatwiejszy do uchwycenia wzrokiem. Dlatego też jego problemy możemy ująć i na chwilę rozjaśnić, podobnie jak własną egzystencję. Wznosząc się, coś tracimy, chociażby poczucie pewności i gruntu pod nogami, ale też coś zyskujemy. Inna sprawa, czy czasem nie wnosimy się w niebo (czy zaczynamy o tym pisać) bez własnej wiedzy czy chęci, z powodów nie do końca nam znanych, właśnie enigmatycznych i niezrozumiałych.

Józef Desa, zanim stał się świętym z Copertino, patronem studentów zdających egzaminy oraz astronautów, czyli pocziwcem wygładzonym na potrzeby Kościoła i wiernych, był jednym z dwanaściorga dzieci ubogiego szewca. Nie posiadał kompletnie żadnych uzdolnień, ani urody, mądrości czy zaradności. Mało tego, był niezgułą do potęgi, fajtlapą niezdolnym do żadnej fizycznej pracy, nie wspominając już o umysłowej. Za cokolwiek by się nie brał, leciało mu to z rąk. Cendrars pisze, że Józef

⁶ *Ibidem*, s. 20–21.

nie tylko nie nadawał się do niczego, ale dawał zły przykład młodszemu rodzeństwu, błędząc wciąż gdzieś myślami, nie wiedząc, co z nim zrobić, i nie mogąc żyć nieroba, bo małżonkowie byli ubodzy, a klientela składała się z dusigroszów, ojciec Józefa, Feliks Desa, przegadawszy w tej materii całą zimę z żoną Franciszką, która miała dwóch braci, nazwiskiem Panara, mnichów, do późnej nierzaz nocy gadając o tym przy piecu, postanowił oddać Józefa do klasztoru, aby tam spróbować go kształcić⁷.

Cóż z tego, skoro nawet najbardziej wyrozumiali ojcuzłkowie i wybaczący braciszkwowie docierają do kresu swojej cierpliwości, a przecież takich jest niewiele, zakonne zgromadzenia zapewne przypominają swoim żywym inwentarzem każde inne miejsce na świecie, i tam więc znajdowali się tacy, którzy z biednego Józefa się naśmiewali po kątach lub wprost stroili sobie z niego żarty i narażali na różne nieprzyjemności, nie wspominając o niemiłych szturchnięciach czy zaczepkach. Toteż z jednego zgromadzenia usunięto go za roztargnienie i niezdolność do pracy fizycznej, także dlatego, że nauczyciele grzeszyli przez niego gniewem, a innym uczniom dawał zły przykład⁸. W „klasztorze Groticella pokorny braciszek służebny, nie przeznaczony do święceń, ustawicznie zbierał połajanki i szturchańce, był traktowany jak osioł, nigdy bowiem jeszcze nie widziano podobnego krety”⁹, a przecież tam nie wykonywał żadnej ważnej funkcji, ponieważ miał się tylko opiekować... mułem. Zbyt często jednak nasz tracący grunt pod nogami i pokorny braciszek popadał w zadumę. Z rozdziawioną gębą wpatrywał się w niebo, jakby widział tam więcej niż inni. Całymi dniami potrafił chodzić po pobliskich łąkach i błądzić wzrokiem za ptakami. Nikt się nie interesował tym, co robi niezdarny chłopiec. Być może nawet niektórym byłoby na rękę, gdyby się zgubił, zawędrował hen daleko, zapatrzonego w jakiś obłok na horyzoncie. Jednak gdzieś indziej miano co do Józefa inne plany. Wtedy nikt nie spodziewał się ich charakteru, dziś też nie znajdzie się zbyt wielu, którzy uwierzyliby w jego podniebne akrobacje. Taki już los niektórych świętych. A przecież „Prosper Lambertini, późniejszy Benedykt XIV, *advocatus diaboli* w procesie kanonizacyjnym Józefa, przedstawiający Kongregacji Rytuałów *animadveriones* najbardziej drobiazgowo dowody, wymienił siedemdziesiąt przypadków charakterystycznych lewitacji w samych tylko okolicach miasta Copertino!”¹⁰.

Józef Desa za swojego żywota niespecjalnie komukolwiek pasował na świętego. Trudno się nim też dzisiaj chwalić. Nie był wielkim poetą, jak inny ekstatyk — święty Jan od Krzyża. Nie miał w sobie tak wielkich umiejętności reformatorskich jak święta Teresa z Avila, która też potrafiła się wznosić ponad ziemię. Nie posiadał tak naprawdę żadnych uzdolnień, poza wielką pokorą, umiejętnością godzenia się z losem oraz znajomością technik nagłego wzlatywania. Wystarczyło małe wzruszenie: nabożny śpiew, żdźbło trawy, liść wiśni, aby nagle wziął i wzle-

⁷ B. Cendrars, *Gwiezdna wieża Eiffla*, przeł. J. Rogoziński, Warszawa 1971, s. 62–63.

⁸ *Ibidem*, s. 66.

⁹ *Ibidem*, s. 67.

¹⁰ *Ibidem*, s. 90.

ciał. Świadcami tych wydarzeń byli papież Urban VIII, wielki admirał Kastylii, poseł papieski i jego żona, Maria Sabaudzka¹¹. Józef jednak podczas swoich ekstaz był całkowicie demokratyczny, równie łatwo wznosił się przed zwykłymi rolnikami, robotnikami i prostytutkami. Świadców jego wzlotów było setki. Wielu nawróciło się, widząc tego świątobliwego męża unoszącego się ponad ziemią. A on tylko wówczas wydawał krzyk i wzlatywał.

Ach, ci święci, najniesforniejsze dzieci Kościoła! Prawda jedyna, dzięki której nie potępiamy i nie przeklinamy życia, zawiera się w Świętych, Dzieciach, Kwiatkach i Ptakach, darach wariackich i przypadkowych, spadających nie wiadomo skąd, od wyrobnic i prostaczków. Bez tego wszystkiego życie byłoby nie do zniesienia¹²

— pisze Cendrars.

Jakże wariackim przykładem przypadkowości losu był święty Józef, który wznosił się mimo wszystko, kajany przez rodziców, ojców przeorów, kolegów za swoją głupotę i zamyślenie, potępiany przez inkwizycję i przełożonych za skandaliczne wznoszenie się bez powodu, bo usłyszał piękny śpiew czy zapatrzył się w boże stworzenie. Święty z Copertino był jednak cudakiem, który nie zrażał się tymi połajankami, próbami zamknięcia go w klasztornej celi, by przestał w końcu unosić się nad ziemię. Nawet kiedy miał stawić się przed Świętym Oficjum w Neapolu, oskarżony o czary, zamiast klęknąć przed mądrzejszymi od niego, Józef wznosił się aż pod strop i uśmiechał się stamtąd głupkowato. „Święci — pisze Cendrars — są jak dzieci, igrają z ogniem, gustują w ryzyku i lubią się śmiać. Są bezwstydni. Przepadają za błędzeniem. Ufają. Nie należą do siebie. Ojciec odnajdzie ich wszędzie, dokądkolwiek poleźliby w niebie”¹³.

Czy jednak późniejsi aeronauci, łącząc powietrze z ogniem, nie ryzykowali? Takie jednoczenie na siłę może przecież skutkować pożarem i upadkiem. Zresztą każda próba wzniesienia się ponad ziemię grozi katastrofą, nie jest to bowiem naturalny stan dla ludzi. Józef z Copertino przenoszony był z jednej klasztornej celi do drugiej, święty Jan od Krzyża i Teresa z Avila również przeszli swoje z inkwizycją. Pierwsi baloniarze równie szybko spadali, co wznosili się nad ziemię. Podobnie, kiedy łączymy dwoje ludzi, nie mamy pewności, czy wszystko pójdzie dobrze.

Łączymy z sobą — pisze Barnes — dwoje ludzi, którzy nigdy dotąd nie byli połączeni; i czasem świat ulega zmianie, a czasem nie. Może się to skończyć katastrofą i pożogą — lub pożogą i katastrofą. Ale czasem powstaje coś nowego, i wtedy świat ulega zmianie. We dwoje, w tej pierwszej euforii, w tym pierwszym oszałamiającym uniesieniu, są więksi niż ich dwa odrębne ja. Razem sięgają wzrokiem dalej i widzą wyraźniej¹⁴.

¹¹ Zob. *ibidem*, s. 128–129.

¹² *Ibidem*, s. 122.

¹³ *Ibidem*, s. 234.

¹⁴ J. Barnes, *op. cit.*, s. 44.

* * *

Cendrars zaczyna interesować się losami pocziwego ekstatyka, który na przekór wszystkim unosił się nad ziemią, kiedy jego syn, Rémy, zostaje przydzielony do nocnej obrony Paryża podczas drugiej wojny światowej. Ojciec zaczyna szukać dla jego eskadry patrona, anioła stróża chroniącego młodych lotników. Młody pilot oczywiście nie wierzy w takie zabobony. Naśmiewa się z medalików, totemów i różnych niebiańskich pomocy. Stanowią one dla niego relikty dawnej epoki, kiedy ludzie jeszcze wierzyli w takie brednie; chłopak, podobnie jak jego ojciec, jest postępowy, ale przy tym o wiele bardziej radykalny. Cendrars zachwala Józefa z Copertino jako świętego nowoczesnego, prekursora lotów bez silników i skrzydeł, pierwszego i ostatniego ekstatyka, który również leciał do tyłu. Przy czym namawia chłopca, że za pomocą wypromowania świętego lotnika, uda mu się zarobić parę groszy. We dwóch zatem wyruszają w podróż po Paryżu, szukając dla chłopca wpierw medalika ze świętym lewitującym, ale znajdują jedynie figury nie na sprzedaż. „To nic, Rémy, to nic. I tak — mówi Cendrars do syna — ci napiszę jego historię, trochę reklamy, i tak zbijesz na tym grubą forszę. Bo ty go będziesz lansował po wojnie. A teraz cześć i powodzenia!”¹⁵.

Ojciec i syn spotykają się jeszcze raz podczas trwania dziwnej wojny. Nazajutrz chłopiec ma lecieć na patrol, żeby zobaczyć, jak daleko zapędziły się niemieckie czołgi. Cendrars mówi do syna: „Tylko mi się nie wygłupiaj [...]. — To poważna historia. Wiesz, już zacząłem szkicować dla ciebie żywot świętego Józefa z Copertino. Pamiętasz? Przewertowałem masę knyp i mam już dla ciebie kawał rękopisu. Powodzenia!”¹⁶. Niestety, Rémy nie przeżyje drugiej wojny światowej, podobnie jak drugi syn Cendrarsa — Odilon. Pisarzowi pozostaje zatem jedynie opowieść o świętym Józefie Copertino oraz przygnębiające poczucie straty. Zaczyna więc zagłębiać się w życie przedziwionego ekstatyka, którego lewitacje nikomu nie były na rękę i budziły u jego przełożonych raczej przestrasz niżeli podziw. Autor *Gwiazdnej wieży Eiffla* — człowiek niewierzący — zaczyna tworzyć dzieło na wskroś mistyczne, nieraz trudne w odbiorze, centon cytatów, aforyzmów, na pierwszy rzut oka niepowiązanych ze sobą historii, w pewnym momencie pełne krótkich zdań, które przypominają ekstatyczny poemat. Cendrars próbuje pokazać za pomocą słów ten wybuch bożej miłości, który dziś wydaje się śmieszny i niezrozumiały, a cztery stulecia temu był on tak silny, że porywał Józefa z Copertino — sługę prostego i pobożnego, wolnego w ruchach i myśli — nad sklepienie ołtarza. W tej samej książce opisuje on przypadek, gdy święty Jan od Krzyża i Teresa z Avila w jednym momencie, oddzieleni kratą, ale złączeni w modlitwie, unieśli się nad ziemię, czego świadkiem była Beatriz de Cepeda y Ocampo, przyszła Beatrix od Jezusa. Cendrars pisze: „wyobrażcie

¹⁵ B. Cendrars, *op. cit.*, s. 57.

¹⁶ *Ibidem*, s. 110.

sobie, jak jedno olśniewa drugie, jak staje się rozjarzone i płynne pod działaniem łaski, kontemplacji, rozpromienienia, impulsu, posiadania radości i miłości czystej, która daje się z impetem i jest wchłaniana: pożar miłości bożej?”¹⁷. Łączymy zatem ze sobą dwoje ludzi, jak pisał Barnes, i czasem świat ulega zmianie, a czasem nie. Czasem też powstaje coś nowego i we dwoję tworzą więcej niżeli jedno, razem są więksi niż dwa odrębne ja. Jednak „każda opowieść o miłości to potencjalnie opowieść o żalu”¹⁸. Przekonał się o tym Cendrars, tracąc dwóch ukochanych synów. Pozostaje zatem tylko wspomnieć jego prośbę kończącą rozdział *Nowy patron lotnictwa*, znajdujący się w książce *Gwiezdna wieża Eiffla*, skierowany do ludzi interesu, aby któryś z nich nakręcił kiedyś film o świętym lewitującym *in memoria* jego synowi.

* * *

Łączymy ze sobą dwie opowieści, dwoje ludzi, dwa elementy. W konsekwencji ich scalenia, zyskujemy nową świadomość, pewna część rzeczywistości staje się dla nas lepiej oświetlona i zrozumiała. Poznajemy jej charakter, który wcześniej był przed nami skrywany i, jak aeronauci wznoszący się w przestworza za pomocą balonów, zdobywamy nowy punkt widzenia. Czy też jak późniejsi pionierzy awiacji, twórcy samolotów cięższych od powietrza, dzięki którym ludzie nie byli już zdani na łaskę wiatrów i niepogody¹⁹, możemy ujrzeć więcej i uzyskać lepszą perspektywę. Albo być niczym astronomowie, którym patronuje przecież święty Józef z Copertino, widzący po raz pierwszy ze wszystkich ludzi na żywo zjawisko wschodu Ziemi, jak pilot modułu księżycowego misji Apollo 8 William Anders, który powiedział: „Myślę, że naprawdę wstrząsnął nami wschód Ziemi... Patrzyliśmy na naszą planetę, miejsce, z którego się wywodzimy. Nasza Ziemia była barwna, ładna i delikatna w porównaniu z bardzo chropowatą, surową, poszarpaną, wręcz nudną powierzchnią Księżyca. Myślę, że uderzyło nas wszystkich, iż przebyliśmy 386 000 kilometrów, by zobaczyć Księżyc, a to Ziemię należało oglądać”²⁰.

Aeronauryka dała nam możliwość oglądania naszej planety z różnych perspektyw. Dzięki niej mogliśmy widzieć dalej i wyraźniej; spojrzeć na siebie

¹⁷ *Ibidem*, s. 268.

¹⁸ J. Barnes, *op. cit.*, s. 90.

¹⁹ „Ale wszyscy, zarówno Anglicy jak i Francuzi, konserwatyści czy postępowcy, zgadzali się, że przyszłość latania należy do maszyn cięższych od powietrza. I choć nazwisko Tournachona zawsze łączono z baloniarstwem, założył on też Towarzystwo Popierania Komunikacji Powietrznej Aparatami Cięższymi od Powietrza; jego pierwszym sekretarzem był Juliusz Verne. Inny entuzjasta, Wiktor Hugo, stwierdził, że balon jest jak piękna pływająca po niebie chmura — tymczasem ludzkość potrzebuje odpowiednika ptaka, tego cudu, co rzuca wyzwanie grawitacji”. *Ibidem*, s. 18–19.

²⁰ *Ibidem*, s. 39–40.

z oddali i popaść w głębokie zamyślenie. Okazało się bowiem, że nie jesteśmy w centrum wszechświata. Wyliczenia fizyków i astronomów wydawały się od zawsze abstrakcyjne, niezrozumiałe, zbyt ogromne i pomniejszające pojedynczego człowieka, aby był on w stanie je ogarnąć swoim rozumem. Jeśli natomiast spojrzymy na zdjęcie Ziemi z Kosmosu czy nawet z wysokości kilkudziesięciu kilometrów, ujrzymy jej kruchość, samotność, opuszczenie w całkowitej ciemności, której końca nie widać, ale to właśnie z niej się wywodzimy i to ona jest naszym prądem. Ta nicość, poprzetykana od czasu do czasu satelitami, planetami i gwiazdami, które tworzą wielkie galaktyki, jest nam obca, wymykająca się zdrowemu rozsądkowi, ale też bliska, niewiele nas przed nią chroni. Jesteśmy przez nią otoczeni i zdani na jej kaprysy, podobnie jak baloniarze musimy liczyć się ze zmiennymi wiatrami i pogodą. Uświadamiamy sobie zatem, że jesteśmy panami danej sytuacji tylko do pewnej chwili, na moment, identycznie jak bohaterowie pierwszego eseju Barnes'a, którzy w każdym momencie mogli się roztrzaskać o mroźną taflę wody albo twardy grunt w wyniku nieprzychylnych podmuchów znad Morza Północnego czy Atlantyku. Podobnie na Ziemi jesteśmy otoczeni przez Nic, które przeraża i wzbudza niepokój; istniejemy, zdani na kaprysy tej niezrozumiałej, otaczającej nas pustki. Być może właśnie dla lepszego zrozumienia albo zakrycia jej, zaczęliśmy łączyć ze sobą różne elementy.

Jeśli — pisze John D. Barrow — przyjrzeć się konkretnym problemom, które od dawien dawna stanowiły motor rozwoju ludzkiej wiedzy, zawsze natrafi się na Nic starannie przebrane za Coś — jednak nigdy na tyle skutecznie, by pozostając nierozpoznawalnym, znaleźć się poza nurtem głównych wydarzeń²¹.

Nic bowiem lubi się kamuflować, unikać — że tak powiem — rozgłosu, przybierać maski, pozornie znajdować na uboczu, chociaż zawsze jest w centrum i ma ostatnie słowo w naszej egzystencji. Nie można go zatem w żaden sposób zlekceważyć czy uniknąć, daje o sobie znać prędzej czy później. Ignoruje przy tym wszelkie zasady logiki i zdrowego rozsądku, jest czymś wrogim życiu, ale stanowiącym jego stały składnik, dlatego wzbudza chaos, więc tym samym — panikę. Możemy starać się tę nicość pominąć, zapomnieć o niej i odrzucić, ale ona będzie o nas pamiętać, ponieważ otacza każde istnienie i jest jego częścią. Dlatego, jak słusznie zauważa Barnes, każda opowieść o miłości to potencjalna opowieść o żalu. Czy, jeszcze inaczej, według słów Sebald'a: „Na każdej nowej formie kładzie się już cień zniszczenia. Historia każdej jednostki, historia każdej wspólnoty i historia całego świata nie biegnie mianowicie po łuku, coraz mocniej i piękniej napiętym, ale po torze, który osiągnąwszy południk, zapada w ciemność”²².

Nie jest ważne, czy w ten sposób będziemy rozmyślać nad opowieścią jednego człowieka, całej rodziny, zbiorowości, planety, układu słonecznego, galak-

²¹ J.D. Barrow, *Książka o niczym*, przeł. Ł. Lamża, Kraków 2015, s. 9.

²² W.G. Sebald, *Pierścienie Saturna*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 2009, s. 31–32.

tyki czy wszechświata. Wszystko ma swój niespodziewany koniec, w najmniej pożądanym momencie, ponieważ odpowiednie chwile do panowania nicości nigdy nie nadchodzą, zawsze objawia się ona w niewłaściwą porę. Ciągłe jesteśmy jej podlegli, na każdym kroku odkrywamy niezrozumiałą siłę, z jaką nieprzerwanie na nas działa. Pozostaje nam poczucie straty, żal z nim związany i pustka, która powstaje w momencie odkrycia, że nicość wcale nie znajduje się na uboczu naszej egzystencji. Nie można jej w żaden sposób zakryć, ani ukryć, schować gdzieś na strychu wśród innych rekwizytów starożytności. Odkrywając zaś jej istnienie, zdajemy sobie również sprawę z własnej „nieważności”. Nie ma bowiem żadnej drogi wstecz, nie znajdujemy też prostego wytłumaczenia swojej obecności wśród tej nicości. Jednak prócz przerażenia, może ona też pobudzać do lepszego zrozumienia naszej egzystencji i zaakceptowania przypadkowości istnienia. Nicość staje się wtedy wezwaniem do autentycznego życia, zewem, zmuszającym nas do skonfrontowania się z poczuciem ciągłej straty i przemijalności. Nie zrozumiemy przy tym najprawdopodobniej celu „tego wszystkiego”, ani obecności próżni, jakby to paradoksalnie nie brzmiało. Możemy jednak wyobrazić ją sobie jako coś, co właśnie kształtuje nasz byt. „Trzeba [...] — pisze Cezary Wodziński — pomyśleć sobie tę pustą przestrzeń nie jako pustkę otoczoną ścianami naczyń, ale — na odwrót — jako »coś«, co określa i nadaje kształt naczyń. To owa pustka — Otwarte — kształtuje, a nie kształt — zamkniętość — zamyka w sobie pustkę”²³.

* * *

Barnes, po tym jak szkicuje dwa eseje o baloniarstwie i niespełnionej miłości Freda Burnaby’ego do Sary Bernhard, nagle — w ostatnim tekście swojej książki — opisuje poczucie straty po śmierci swojej żony.

Łączymy — pisze w *Wymiarach życia* — z sobą dwoje ludzi, którzy nigdy dotąd nie byli połączeni. Czasem przypomina to tę pierwszą próbę sprzężenia balonu na wodór z balonem na ogrzane powietrze: lepsza katastrofa i pożoga czy pożoga i katastrofa? Ale czasem to się sprawdza i powstaje coś nowego i świat ulega zmianie. Potem, w którymś momencie, wcześniej lub później, z tego czy innego powodu, jedno zostaje drugiemu odjęte. A to, co zostaje odjęte, ma wyższą wartość niż suma tego, co było wcześniej. To może nie być możliwe w matematyce; ale jest możliwe w uczuciach²⁴.

Paradoksalne to słowa, przewrotne i trudne do zrozumienia, lecz tak właśnie działa zasada panowania nicości, która wymyka się wszelkim regułom albo też my nie znamy tych reguł. Jednak tym, którzy wzniesli się ponad ziemską, prostą logikę, przybliżyła się właśnie ta otwartość naszej egzystencji kształtowana przez pustkę.

²³ C. Wodziński, *Eseje pierwsze*, Gdańsk 2014, s. 25.

²⁴ J. Barnes, *op. cit.*, s. 89.

Barnes na kilkunastu stronach kreśli przejmujący opis śmierci swojej żony i tego, jak poradził sobie z żalem po jej stracie. Po trzydziestu wspólnie przeżytych latach przychodzi bowiem moment rozdzielenia małżonków. Nagle oboje dowiadują się, że zostało jej niewiele dni do przeżycia.

Od diagnozy do śmierci minęło trzydzieści siedem dni. Starałem się nie odwracać wzroku, zawsze patrzeć temu w oczy; stąd zrodziła się jakaś szalona jasność umysłu. Przeważnie, wyszedłszy wieczorem ze szpitala, łapałem się na tym, że wpatruję się z niechęcią w ludzi w autobusach, którzy jakby nigdy nic, pod koniec dnia wracają do domu. Jak mogą tam siedzieć, tak beczynnie i nieświadomi, ich obojętne profile widoczne w oknach, kiedy świat ma zaraz ulec zmianie?²⁵

— czytamy w *Wymiarach życia*. Większość ludzi jest bowiem zakrzątanych codziennością, dlatego ignorują nicłość. Dopiero ci, którzy na nią natrafiają, nie są już w stanie powrócić do świata normalności. Przed nimi pokazuje ona całą swoją niszczycielską moc. Świat powoli zaczyna ulegać zmianie, ale nikt nie może się na to przygotować, nikt też nie jest w stanie zmediatyzować tego doświadczenia z innym człowiekiem. Śmierć jest doświadczeniem indywidualnym, niemożliwym do zrozumienia przez innych. Z umieraniem bliskiej nam osoby jest podobnie. „Nie radzimy sobie — pisze Barnes — ze śmiercią, z tą banalną, wyjątkową sprawą; nie potrafimy już wpisać jej w szerszy wzór. I jak to ujął E.M. Forster: »Dla pojedynczej śmierci można znaleźć wytłumaczenie, które jednak nie wyjaśnia następnej śmierci«²⁶. Jest to bowiem kolejne wydarzenie, które teoretycznie nas otacza, ale nie znajdujemy dla niego zrozumienia ani prostego wytłumaczenia²⁷. Coś wyrwane z Niczego zostaje nagle zwrócone do miejsca, z którego pochodziło. Kolejny niezrozumiały paradoks, który może próbować wytłumaczyć nam medycyna, fizyka, matematyka, ale wymyka się on prostym zasadom naszego istnienia. Szczególnie istnienia współczesnego, które nicłość, śmierć, przemijanie czy nawet starość i chorobę wypycha poza nawias bycia. Znosi ono zasadę istnienia i nieistnienia, bycia i umierania, za wszelką cenę wypełnia też puste miejsca naszej egzystencji. Nie ma w niej miejsca na rozmyślanie nad przemijaniem i powolnym obumieraniem, pozostaje raczej *przeżywanie* chwili i jej konsumowanie, utrwalanie i dzielenie się nią. Nie chcemy pamiętać, że nasza

²⁵ *Ibidem*, s. 91.

²⁶ *Ibidem*, s. 91–92.

²⁷ Barnes porusza ten problem w innej swojej książce traktującej o śmierci, pisząc: „Rozumiem (tak sądzę), że życie zależy od śmierci. Że przede wszystkim nie mielibyśmy tej planety, gdyby nie wcześniejsza śmierć ginących gwiazd; dalej, że aby złożone organizmy, takie jak ty i ja, mogły zamieszkać na tej planecie, żeby mogło istnieć samoświadome i samopowtarzalne życie, należało wypróbować i odrzucić nieskończoną wręcz sekwencję ewolucyjnych mutacji. Potrafię to pojąć i gdy pytam: »Dlaczego śmierć ma mi się przytrafić?«, to jestem w stanie przyklasnąć trzeźwej replice teologa Johna Bowkera: »Bo wszechświat przytrafia się tobie«. Jednak moje zrozumienie tego wszystkiego nie uległo ze swej strony ewolucji: nie zmierza ku akceptacji, nie wspominając już o jakiegokolwiek uldze czy pociesze. I nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek optował za tym, żeby wszechświat przytrafiał się właśnie mnie”. J. Barnes, *Nie ma się czego bać*, przeł. J. Kabat, Warszawa 2010, s. 235.

egzystencja, podobnie jak świat, w którym istniejemy, pełna jest niepokojącego i enigmatycznego charakteru, a na końcu naszej drogi nie znajduje się wymarzony cel, spełnienie i ponadczasowość²⁸, ale — znowu powracając do Nietzschego — urna z popiołami ostatniego człowieka i grabarza.

Myślenie o tym kresie, otchłani, nicości, wydaje się w dzisiejszym świecie niepożądane, ale nie sposób uciec od tych doświadczeń, jakkolwiek byłyby one wstydlive i wyganiane przez modę na kres naszej egzystencji. W końcu staną się one doświadczeniem każdego człowieka. Dopiero unosząc się ponad codzienność, widzimy kruchość, słabość i mikroskopijność wszystkich naszych dokonań, nas samych, pojęcia „człowiek” oraz planety, na której żyjemy. Przekonał się o tym również Barnes, niezmordowany badacz śmierci, przed *Wymiarami życia* tworzący setki zdań dotyczących tego zagadnienia. Nie sposób jednak przygotować się na doświadczenie nicości. Pokazuje ona swoje przepastne otchłanie nagle i bez ostrzeżenia. Brytyjski autor odkrywa, że aby opisać ten stan, sprawdzają

się jedynie stare słowa: śmierć, żal, smutek, rozpacz, cierpienie. Żadne współczesne językowe uniki ani żargon medyczny. Żal to stan ludzki, nie chorobowy, i choć są tabletki, które pomagają nam o nim zapomnieć — i o wszystkim innym — nie ma tabletek, które go leczą. Pograżeni w żalu nie mają depresji, są po prostu naprawdę, odpowiednio, matematycznie („cierpi się dokładnie tyle, ile to było warte”) smutni²⁹.

W XXI wieku próbujemy zaś na różne sposoby pominąć bądź opóźnić starzenie się i umieranie, czysty fakt, że powoli znikamy, robimy miejsce innym i z powrotem stajemy się częścią nicości. Wierzmy, że medycyna nie pozwoli naszemu istnieniu przeminąć, natomiast na różne językowe sposoby unikamy myślenia o odchodzeniu. Interesuje nas raczej to, co teraz, oddajemy się zatem iluzji, że posiadając przedmioty i ludzi, pozostaniemy częścią tego świata. Natomiast obcowanie z literaturą daje nam świadomość przemijania, poczucia straty, świadomości, iż na świecie istnieją rzeczy enigmatyczne i posiadające niepokojący charakter, do których właśnie należy sfera przemijania całkowitego i nieodwracalnego. Mówi nam ona, że istnieją pewne doświadczenia, których nie sposób przekroczyć, jak pewien fragment wiersza Audena, gdzie „nikt się nie posuwa / Poza kres torów albo skraj nieba, / Nikt nie wyruszy dalej ni syna nie wyśle...”.

Nikt nie wyruszy dalej ni syna nie wyśle.

²⁸ „Naklejki na zderzakach samochodowych i magnesy lodówkowe przypominają nam, że Życie Nie Jest Próbą Generalną. Przekonujemy się nawzajem do współczesnego świeckiego nieba samozaspokojenia: rozwoju osobowości, związków, które pomogą nam określić pełniej samych siebie, pracy dającej wyższy status, dóbr materialnych, posiadania nieruchomości, wakacji zagranicznych, gromadzenia oszczędności, kolekcjonowania wyczynów seksualnych, odwiedzania siłowni, konsumpcji kultury. Wszystko to składa się na szczęście, czyż nie — czyż nie? To nasz wybrany mit i niemal taka sama iluzja jak inny mit, ten, który głosi spełnienie i ekstazę, gdy zabrzmi ostatnia trąba i otworzą się groby, gdy uzdrowione i udoskonalone dusze połączą się w społeczność świętych i pijaków”. *Ibidem*, s. 80.

²⁹ J. Barnes, *Wymiary...*, s. 94–95.

* * *

Barnes pisze, że poczucie straty staje się częścią bycia człowiekiem, i to jego nieodwracalną częścią. Wcześniej czy później, wypełnia ono nicością każdego z nas. „Moja żaloba — czytamy w *Wymiarach życia* — jest nieskomplikowana i pochłania mnie całkowicie. To moje szczęście, a zarazem moje nieszczęście. Już na początku w moich myślach pojawiły się słowa: Tęsknisz za nią w każdej chwili działania i w każdej chwili beczynności. To jedno z tych wyrażen, które powtarzałem sobie, żeby potwierdzić, gdzie i kim jestem”³⁰. Jednak zarazem w tym poczuciu straty i żalu jest pewna groteskowość, pisze dalej Barnes: „Tracimy poczucie, że nasza egzystencja jest racjonalna czy też uzasadniona”³¹. Bowiem właśnie te uczucia pokazują nam, że nasza egzystencja wcale nie jest racjonalna lub uzasadniona, nasze istnienie nie opiera się — choćbyśmy wysilali się na jakiegokolwiek słowne sztuczki i semantyczną hołsztaplerkę — na żadnych trwałych fundamentach. Wyrasta ono z tej niepewnej, niezrozumiałej i niewytłumaczalnej, a przecież ciągle nas otaczającej nicości. Uświadamiamy sobie też własną znikomość i przemijanie, stajemy więc oko w oko właśnie z ową pustką, którą ciągle nosiliśmy w sobie. Poczucie straty i żalu następującego po niej, ukazują nam jedynie nasze kompletne zagubienie, którego wcześniej nie byliśmy świadomi. Zwracają przy tym uwagę właśnie na to, co na tym świecie ma charakter enigmatyczny i niepokojący, czyli również na naszą własną egzystencję. W końcu zaczynamy przeżywać ją autentycznie i otwarcie ze wszystkimi konsekwencjami tego stanu. Wznosimy się, aby ujrzeć ją z innej perspektywy i oddalenia. Wtedy właśnie dostrzegamy niepewność własnego losu, targanego różnymi wiatrami, ulotność istnienia oraz jego zagubienie wśród nicości.

³⁰ *Ibidem*, s. 108–109.

³¹ *Ibidem*, s. 112.